

Powrót do Indii

Podróż potrwa zaledwie cztery tygodnie. W tak krótkim czasie uda mi się zrealizować tylko część pierwotnych zamierzeń. Nie będzie innego wyjścia, niż skorzystać z mądrej rady, że lepiej ograniczyć się do kilku miejscowości i zrezygnować z ambitnego planu podróży, która – by go zrealizować – musiałaby potrwać przynajmniej trzy miesiące. Pociągami (spędzę w nich aż jedną czwartą część pobytu) około siedmiu tysięcy kilometrów, zatrzymując się zaledwie w kilku miastach. Wyruszę w drogę w marcu 2001 roku, w sześć miesięcy przed tzw. atakiem na Amerykę, który otworzy nową epokę w stosunkach międzynarodowych, pogrążając w kryzysie przemysł turystyczny. Moimi najważniejszymi przewodnikami po Subkontynencie będzie kolorowy film dokumentalny francuskiego reżysera Louis Malle'a, nakręcony w 1969 roku dla BBC, wyklęte przez znaczną część maoistów *Szatańskie wersety*, które w opinii ich autora stanowią książkę jego życia, oraz przeróżne, bliżej nieokreślone motywy i wątki, łączące małą krainę mego pochodzenia ze światem hindusów i żyjących na Subkontynencie muzułmanów. W obliczu tego, co zastanę na miejscu, zrezygnuję z zamierzeń „naukowych” – rozstanę się z nimi bez większego żalu, tak jak przy poważnej awarii wyrzuca się zbędny bagaż. Ograniczę się do roli obserwatora i osoby opisującej. Jak Malle – który poddawszy się bezmiarowi Indii, postanowił rejestrować kamerą jedynie to, co widział z samochodu, gdy przemierzał kraj z północy na południe, posługując się jedynie papierem, piórem oraz mapami i planami miast, które kupiłem po przylocie, będę w pełni świadom, że wobec ogromu świata Subkontynentu, w jego wymiarze przestrzennym i czasowym, mój własny mikrokosmos ma znikome znaczenie. Przyjmę więc, że wszystko to, co mi się przytrafi po drodze, dopomoże mi wczuć się w realia codziennej egzystencji rdzennych mieszkańców tego obszaru świata. Moje intuicyjne reakcje na ludzi i warunki, w jakich żyją, wywrą istotny wpływ na kształt i przebieg tej podróży. Poddając się „normom” i zasadom miejscowych duchów opiekuńczych, owoce, jakie będę zbierać, często okażą się gorzkie, ale na tyle życiодajne, że wystarczą mi do końca życia.

Widok z samolotu

Wyprawa zaczyna się około 6 rano na Okęciu. Kilometry będę więc liczyć z wysokości 4 tysięcy metrów, wyobrażając sobie mijane w dole krajobrazy, granice, miejsca, resztki dawnych kultur. W czasie trzygodzinnej przesiadki w Zurychu, mimo niesmaku, że największa podróż, jakiej dokonam w tym wcieleniu, wiedzie przez pozbawione jakiegokolwiek charakteru lotnisko, cały czas pamiętam, że poza niekończącymi się polami północno-wschodniej Francji właśnie Szwajcaria była pierwszym krajem zagranicznym, który zobaczyłem na własne oczy. W Zurychu zdam sobie sprawę,

że dziś, mimo że jestem prawie dziesięć razy starszy, mam zaledwie mętne wyobrażenia o tym, co mnie czeka na Subkontynencie, więc jako dziecko nie byłem w stanie pogodzić się z tym, że może istnieć coś, co jest wyższe niż stumetrowa iglica największego kościoła w moim mieście rodzinnym. Człowiek powinien uczyć się przez całe życie. W pasażu handlowym w drodze do podziemnego dworca kolejowego (skąd można pojechać do jeziora Thun, z którego kiedyś wyruszyłem z rodzicami do góralskiej miejsciny) kupiłem szczyryk firmy Victorinox-Wengera – być może ostatnia ikona Szwajcarii.

W samolocie do Delhi większość pasażerów stanowią Hindusi, powracający, w szerokim sensie tego słowa, do siebie; pozostali to najczęściej „dzieci Zachodu”, które wierzą, że odnajdą w Indiach coś, czego nie ma w Europie. Dostałem miejsce w środkowym rzędzie w klasie ekonomicznej. Pytam, czy nie ma przypadkiem wolnego miejsca przy oknie. Siedzący obok mnie



1. (New) Delhi nr VIII, Uroczystości w dniu niepodległości. Tancerze ze stanu Pendżab przed łukiem żałobnym zw. *All India Memorial* ku czci żołnierzy Imperium Brytyjskiego, poległych w czasie obu wojen światowych



2. Ulica Main Bazaar w dzielnicy Paharganj widziana z drugiego piętra hotelu

Hindus, który leci z uroczą, ubraną tradycyjnie żoną, małym chłopcem i niemowlęciem – przemawia do mnie z przejęciem, że jeśli mam zamiar zwiedzać tyle miast, koniecznie muszę kupić miesięczny bilet linii *Jet Airways*. Za chwilę, ku mojemu zdziwieniu, stewardesa wraca z wiadomością, że znalazła dla mnie miejsce przy oknie.

Siedząca obok kobieta pochodzi z Augsburga, ale mieszka w Monachium, gdzie pracuje w opiece społecznej. Sens życia odnalazła w buddyzmie. Rozstanę się z nią dopiero w Delhi. Neofitka – sympatyczna, ale potwornie skąpa, kupi od razu bilet autokarowy „za jedyne 94 rupie” do leżącej około 370 kilometrów na północ dawnej wioski góralskiej Dharamsala, mekki nawróconych na buddyzm, gdzie zajęcia z religii oferuje się wraz z noclegami i wyżywieniem. Niemka, zafascynowana jest Indiami w sposób powierzchowny i nieco fanatyczny. Choć wciąż spotyka się ludzi, którzy twierdzą, że w Indiach nie tyle poszukują, ile doświadczają duchowego wtajemniczenia czy oświecenia, w dzisiejszych, materialistycznych czasach nie zdarza się to już zbyt często – znacznej większości przybyszów z Zachodu wystarczą inne doznania. Zwykle przyjeżdżają, by przede wszystkim korzystać z niskich cen, rozrywek, narkotyków i seksu. Kiedyś podróż była niecodzienną przygodą i intensywnym przeżyciem. Dziś ludzie podróżują, by zaspokoić konkretne, zwykle przyziemne potrzeby, a wszystko to, co przydarza się poza tym, jest dla nich sprawą drugorzędną. Każdy może osiągnąć swój cel bez większego wysiłku. Ze wszystkich nietubylców,

których poznam w Delhi, Bombaju i innych miastach, jedynie ta, już nie pierwszej młodości, pracownica monachijskiego magistratu twierdzi, że poszukuje wyłącznie przeżyć duchowo-religijnych. W miejskich molochach Indii nie ma już powodu, żeby były złudzenia co do świata dawnych kolonialistów, tym bardziej że narodziła się tutaj nowa kasta, która więcej ma wspólnego z międzynarodową warstwą profesjonalistów – ludzi, którym w gruncie rzeczy jest obojętne, czy mieszkają w Bombaju, Baltimore, Chicago, Chennai, Dallas czy Delhi – niż z miejscowym społeczeństwem.

Wśród pasażerów samolotu nr SR 194, który odlata z Szwajcarii o godzinie 12.10 i lądować będzie na lotnisku im. Mahatmy Gandhiego ok. 02.00 czasu lokalnego następnego dnia, przeważająca większość uważa siebie za synów i córki indyjsko-hinduskiej republiki *Bhārat*. Po wylądowaniu moja współtowarzyszka podróży wykaże się kompletnym brakiem taktu i zrozumienia dla dramatu tożsamości kulturowej, jaki toczy się we współczesnych Indiach. Młodego człowieka, wyraźnie zdenerwowanego długim stanem w kolejce do kontroli paszportów, zapyta: *Is this your first time in India?* Biedak, który mówi z akcentem typowym dla Birmingham i środkowej Anglii, jest kompletnie zaskoczony tym absurdalnym i niezręcznym pytaniem, bo jego wygląd jednoznacznie świadczy przecież, że jest Hindusem z diaspory (którą tworzą hindusi i muzułmanie wywodzący się z Subkontynentu, tzw. *non-resident Indians*), zamieszkującej m.in., a może nawet przede wszystkim, Wyspy Brytyjskie.

Nieustające konfrontacje, czyli Delhi

Ze zniżającego się powoli do lądowania samolotu widzę najpierw słabe światła wyraźnie oddzielonych dzielnic Delhi, z których jedne wytyczone zostały zgodnie z planem, inne zaś powstały w absolutnym bezładzie, a po wylądowaniu makabryczne, opuszczone, mroczne, jakby zaciemnione przed nalotem ulice peryferii. Ponaddwadziestokilometrowa jazda do centrum ciągnie się w nieskończoność, ale nagle rozpoznaję gigantyczną aleję otaczającą łukiem ogrody pałacu dawnego gubernatora brytyjskiego, obecnie oficjalnej rezydencji prezydenta republiki. W śródmiejskie obszary nowej stolicy wjeżdżamy, mijając gmach Poczty Głównej. Proszę kierowcę, żeby nas podrzucił pod dworzec New Delhi Railway Station. Ulica Main Bazaar w znanej dzielnicy Paharganj, gdzie zatrzymują się niezamożni przybysze z całego świata potrzebujący taniego, ale bezpiecznego noclegu w Delhi, nocą przypomina główną drogę dawnej podmiejskiej osady. Wiejska zabudowa i biologiczne zapachy nie mają nic wspólnego z wszechobecną na lotnisku wonią środków dezynfekujących, mydła toaletowego i kadzidełek. Scen odgrywających się w tych zaułkach nie można określić jako dantejskich – przywodzą raczej na myśl letnią noc w średniowiecznym mieście północnej Europy; typki i sceny jak z Breughla czy Boscha. Zza jakichś drzwi

wyskakuje chłopak i z figlarnym błyskiem w oku wyrzuca na środek ulicy, niemal nam pod nogi, cały karton zepsutych jajek. Niemka buddystka wygląda nieswojo. Niezgrabni przybysze z innej planety, którzy wylądowali dosłownie przed chwilą, przytłoczeni ogromnymi, groteskowymi plecakami – wyglądamy jeszcze bardziej niesamowicie niż postaci z Boscha. Docieramy szczęśliwie do hotelu, który po drodze polecili nam pracownicy przepełnionego pensjonatu. Kompetentni, młodzi recepcjoniści wyjaśniają, że nie mogą nas zaprowadzić od razu do wolnych pokoi, ale zapraszają do środka. Zostawiamy bagaż na dole i idziemy na taras nad trzecim piętrem. Tam, pod okiem tandetnie wyrzeźbionego bóstwa szczęścia Ganesza moja współtowarzyszka, zachwycona faktem, że zdobyła lokum za symboliczną cenę, zaprasza na limkę, hinduski odpowiednik coca-coli czy fanty, – błądy napój o chemicznym smaku, serwowany w firmowej butelce ze słomką. Jest to jedna z ostatnich chłodnych nocy przed tzw. ciepłym, to znaczy gorącym, sezonem. Poddając się nastrojowi cichej euforii, patrzymy na budzące się powoli miasto i wsłuchujemy się w jego odgłosy. Ktoś kaszle, z odbiorników radiowych słychać charakterystyczne melodie bardzo mi jakoś bliskiej hinduskiej muzyki rozrywkowej.

Wszyscy studenci antropologii i etnografii powinni mieć okazję spędzić co najmniej miesiąc w którymś z molochów tzw. rozwijającego się świata, żeby pozbyć



3. Widoki z założonego po 1911 roku Connaught Place

się złudzeń co do przyszłości gatunku ludzkiego. Dzisiejsze Delhi jest jednym z tych molochów, które nie tworzą całości miejskiej. Składa się z luźno połączonych centrów biznesowo-handlowych i usługowych, kolonii mieszkaniowych oraz slumsowatych klitek zw. *jhuggies*. Trudno uzasadnić twierdzenie, że ten rozrastający się patchwork, gdzie odnaleźć można wszelkie wymyślone przez człowieka formy budownictwa, posiada centrum. Obok ruin siedziby hinduskich maharadzów, pięciu kolejnych stolic założonych przez muzułmańskich despotów, sułtanów i mogołów, oraz zaniedbanych osad (rozwijających się organicznie podobnie jak miasta średniowiecznej Europy), funkcjonuje na rzecz świata nieustającego postępu zupełnie inny rodzaj organizmu zurbanizowanego. Za sprawą imperialnych władz brytyjskich sprzed I wojny światowej i po przeniesieniu tu w 1931 roku stolicy z Kalkuty powstało racjonalnie zaplanowane, rządowe miasto-ogród New Delhi, zabudowane monumentalnymi gmachami oraz przypominające dawne *cantonments* angielskiego Raju – zamknięte, chronione osiedla przeznaczone dla międzynarodowego korpusu dyplomatycznego. Wokół rozbudowały się dzielnice ekskluzywnych willi, kolonie skromniejszych domków jednorodzinnych, bloki mieszkalne.

Znany z licznych relacji i powieści żar, do którego Europejczycy nigdy nie mogli się przyzwyczaić, przenika wszędzie, omijając tylko klimatyzowane pomieszczenia. Z każdym dniem jest coraz goręcej, nocie już nie przynosi ulgi. Miejscowi twierdzą, że pora upałów do niedaw-



4. Przejście graniczne między Amritsarem a Lahore

na rozpoczynała się dopiero w kwietniu. W Indiach istnieje odmienne podejście do klimatu niż w Europie północno-zachodniej oraz wschodniej, gdzie ludzie traktują lato jako zbawienie od mrozów i miesięcy niedostatku światła dziennego. W Delhi, Lahore oraz Kalkucie, która ze wszystkich większych miast ma najstraszliwszy klimat, czeka się z niecierpliwością na monsun i krótki – od listopada do marca – sezon umiarkowanych temperatur. W Madrasie (współczesna nazwa: Chennai) i Bombaju (Mumbai) temperatury w dzień rzadko schodzą poniżej 20°C jedynie w styczniu i lutym. Przed każdym wyjściem na zewnątrz trzeba pokonać lęk przed zmęczeniem i trudami upału, trzeba też przyzwyczaić się do tłumów i ogromnego ruchu ulicznego, nieustającego hałasu i duszącego smrodu spalin. Wszyscy, jeśli mogą, jeżdżą samochodami lub rykszami, dziś już zwykle zmotoryzowanymi. Poza zatłoczonymi w dzień bazarami i bocznymi ulicami lub zaułkami niektórych dzielnic właściwie nie sposób poruszać się pieszo.

Delhi, choć fascynujące, jest najstraszliwszą wizytówką Indii. W okolicach ogromnego ronda Connaught Place, gdzie zamożni, ustabilizowani społecznie mieszkańcy robią zakupy i wraz z urzędnikami państwowymi, pracownikami pobliskich biurów oraz przyjezdnymi ze świata spotykają się w klimatyzowanych kawiarniach, restauracjach i lokalach szybkiej obsługi – czekają całe stada pucybutów, oszustów i nachalnych żebraczków z dziećmi. Wrażliwemu, niezahartowanemu przybyszowi byłoby chyba najlepiej i najbezpieczniej, gdyby po prostu umiał się wyłączyć z tego, co dzieje się wokół – innymi słowy, gdyby nie przyjmował do wiadomości, że on sam może mieć coś wspólnego z otaczającym go światem kontrastów pomiędzy tymi, którzy uczestniczą w kosmopolitycznym życiu współczesnego molocha, a tymi, którzy znaleźli się na samym dnie. Ale taka postawa spowoduje, że będzie on kompletnie oderwany od otaczających go realiów. Turyści-wycieczkowicze nadal traktują świat jako spektakl, który ma ich rozbawić i zadowolić; nie chcą odczuwać żadnych przykrości, bo przecież są na urlopie. To ich odróżnia od podróżników, którzy biorąc udział w swoistej wyprawie umysłowej, powinni zastanawiać się nad tym, co spotykają na swej drodze. Zanim dotrę do ronda o monstrualnych proporcjach, którego klasycyzująca architektura naśladuje prowincjonalną elegancję angielskich kurortów Cheltenham, Leamington Spa, Tunbridge Wells czy Brighton, zostanę namierzony przez kierowcę rykszy, który zawiezie mnie do biura turystycznego „z koncesją rządową”. W Parku Centralnym pucybut z szajki małych oszustów zrobi mi awanturę, że chodzę w zaniedbanym obuwiu, i pokaże, że mam na nich krowie gówno. Kiedy mocno zdegustowany i przygodami, i samym molochem będę wracał po kilku godzinach główną ulicą Paharganju, jak rybę z wody wyłowi mnie z tłumu młody, grubawy Kaszmirczyk, który poluje tu na oszołomionych, osłabionych cudzoziemców. Zrobiłby wszystko, żeby mnie zabrać do rajskiego Śrinagaru, gdzie mieszka jego rodzina. Mówi, że przy-

mują gości na łodzi mieszkalnej, a od kilku lat żyją w rozpaczliwej nędzy – po ogłoszeniu stanu wojennego w Kaszmirze zmarła turystyka.

Idąc spokojnymi w miarę zaułkami, aby ominąć straszliwie zatłoczoną „bazarową” arterię Paharganju, gdzie zaczepiają, jak tylko się da – zamiast do przeznaczonej wyłącznie dla turystów sali rezerwacji na dworcu New Delhi, trafiaam do biura dla miejscowych, którzy stoją godzinami, żeby kupić bilety kolejowe. Skwar wyczerpuje siły i łamie opór. Jest już po czwartej, niedługo będą zamykać biura, więc ulegam komuś (żeby było śmieszniej – jest to sikh), kto zauważył moje napięcie i dezorientację. Po krótkiej jeździe rykszą do prywatnego biura, gdzie, po rozmowie z „szefem” trafiaam na aroganckiego podwładnego, który sprzedaje mi – być może za podwójną cenę, lecz za to bez kolejki i wypełniania standardowego formularza – bilet do Amritsaru „ze śniadaniem” (które, naturalnie, nigdy się nie zmateriuje). Za fachowe wyczyszczenie i naprawę butów przepłaciłem chyba dziesięciokrotnie, ulegając groźnie wyglądającym gorylom z szajki zatrudniającej pucybuta i małego chłopca, który chowa się w krzakach z urządzeniem do strzelania rozcieńczonymi wodą odchodami krowimi.

Przyjmuję, wbrew własnej woli, zaproszenie Kaszmirczyka, by odwiedzić sławny grób sufickiego świętego w dzielnicy Nizam ud(d)-in oddalony o 7 kilometrów od Paharganju, która kiedyś była osobną miejscowością zamieszkiwaną przez tradycyjną muzułmańską wspólnotę *mahalla*. Dziś już niewielu niemuzułmanów bywa w tej dzielnicy pożeranej przez bezkształtnego potwora współczesnego Delhi, zwłaszcza jak teraz – w momencie najbardziej mistycznym, o zachodzie słońca. Po ciężkim dniu pracy wierni siedzą przy galeriach, pachną kwiaty składane ku czci ucznia Hazrata Nizamuddin’a, Amira Khusrana, kronikarza i poety języka urdu, uznawanego za ojca *khyal*, klasycznej muzyki północnych Indii. Przewodnik pokaże mi potem, jak się mieszka w wynajętej stosunkowo tanio jednoizbowej kłitce, pięć minut spacerkiem od mauzoleów. Z Kaszmirczykiem, który pragnie w moich oczach uchodzić za dumnego i wiernego syna islamu, jadamy tanie posiłki (płacę za nie, bo stanowczo odmawiam korzystania ze stołówki przy meczecie) i zwiedzamy różne miejsca. Za opłaty niższe niż te, które zwykle muszą ponosić nie tylko cudzoziemcy, ale również zamożni Hindusi, jeździmy zmotoryzowanymi rykszami i zwiedzamy najstarszą, założoną w XVII wieku dzielnicę Delhi *Shahjahanabad*. Siedzę przed wejściem największego meczetu w Indiach *Jami Masjid*, obserwując mężczyzn śpieszących się na zbiorową modlitwę na ogromnym dziedzińcu, mogącym pomieścić 70 tysięcy wiernych. Cała dzielnica, w której mieszkam – nie licząc niewielkiej wspólnoty sikhów, należy do muzułmanów. Do muzułmanów należą też niemal wszystkie znajdujące się w niej hotele, mój także. Sto lat temu stanowili oni prawie połowę mieszkańców miasta, dziś – tak jak w całym kraju – zaledwie około 11%.



5. Lahore. Jeden z kolejnych wewnętrznych dziedzińców w forcie mogółów. Przewodnik Rashid robi zdjęcie samotnej podróżniczki z Japonii Kazumi

Hindusów poznam później, już po wyjeździe ze stolicy Indii. W Delhi, tak się składa, że jedyni ludzie, jakich spotykam, co do których nie pozostaje najmniejszej wątpliwości, że nie mają nic wspólnego z islamem, pracują w państwowych biurach turystycznych, które m.in. organizują wycieczki po mieście. Jednodniowe wyprawy autokarowe z angielskojęzycznym przewodnikiem, choć często fatalnie zorganizowane, umożliwiają zapoznanie się z rozprzestrzenionymi na ogromną, nie dla pieszych, skalę aglomeracjami Subkontynentu. Wycieczka *Delhi Delights – local sightseeing* organizowana przez biuro Delhi Tourism and Transportation Development Corporation Ltd, zatrzymuje się obowiązkowo przy niezaliczającej się do zabytkowych świątyni hinduskiej *Lakshmi Narayan*, by zapoznać uczestników z podstawami hinduizmu. Będzie to błyskawiczny kurs historii, kultury i religii „narodu hinduskiego” – który nie może zadowolić ani cudzoziemców, ani przybyszów z prowincji, stanowiących zdecydowaną większość grupy. Z zagranicznych uczestników, nikt, oprócz mnie, nie decyduje się, by skorzystać z popołudniowych atrakcji. Przewodnik, któremu raczej było obojętne, że „ten mędrak z Anglii” nie rezygnuje z dalszego wspólnego zwiedzania, nie krył jednak zdenerwowania, kiedy zauważył, że z wyraźnym zapałem wybieram się do ogrodzonych terenów muzeum po resztkach meczetu *Quwwat-ul-Islam*. – Po co zwiedzać te nędzne ruiny? – pyta mnie. Ostrzegając wprost, że jesteśmy spóźnieni i że musimy zdążyć na zakupy w wielkim kompleksie handlowym, który, jak się okaże, znajduje się zaledwie pół kilometra dalej, daje nam pół godziny, żeby samodzielnie odkrywać pozostałości po pierwszym (tak wszyscy przynajmniej twierdzą) meczecie w Indiach, wzniesionym z budulca pozyskanego po rozebraniu 27 hinduskich i dżinijskich świątyń, i pobliskiego najwyższego na Subkontynencie minaretu *Qutb Minar*, czyli Wieży Zwycięstwa.

W Delhi już od 2000 roku za wstęp do niemal wszystkich znanych obiektów zabytkowych żąda się od cudzoziemców waluty zachodniej przeliczanej po kursie jeden dolar – jedna rupia. W marcu 2001 roku na prowincję zarządzenie to dotarło tylko do Tadź Mahal – obleganego przez turystów od dziesiątków lat, gdzie cudzoziemców dyskryminowano już od dawna.



6. Walące się fragmenty miejskiego dziedzictwa starego Lahore. Nawet jeśli uda się uratować część tej drewnianej architektury, to już nie ma mowy o przetrwaniu tradycji, która ją stworzyła

Miasto przygraniczne

Amritsar, największe dziś miasto po hinduskiej stronie podzielonego w 1947 roku Pendżabu, stracił status siedziby władz regionalnych. Miasto znalazło się w ogniu najkrwawszych starć pomiędzy walczącymi o swoje prawa muzułmanami a hindusami i sikhami uciekającymi z terytoriów pozostałych po pakistańskiej stronie granicy. Nie dojadę do nowej stolicy połączonych ze sobą stanów Harijana i (hinduskiego) Pendżabu, założonej w 1951 roku według planu Le Corbusiera, Čandigarh (Chandigarh). Pociąg *Amritsar Express* pokonuje około 460-kilometrową trasę w siedem i pół godziny, pozwalając mieszkającym na emigracji sikhom dojechać po wylądowaniu w Delhi do ich świętego miasta. Złotą Świątynię, zniszczoną niemal kompletnie przez wojsko indyjskie szturmujące zabarykadowanych w jej murach separatystów, odbudowano głównie z funduszy podarowanych przez liczną i dobrze prosperującą mniejszość sikhijską zamieszkałą w Środkowej Anglii. Po wszystkich rzeziach ludności cywilnej – m.in. masakrze 1919 roku dokonanej przez oddziały brytyjskie pod dowództwem generała R.E.H.

Dyera w ogrodzie *Jallianwalla Bagh* w dniu świątecznym *Bhaisakki*, nadal jakby coś wisi w powietrzu nad miastem. Nie jest to miejsce szczególnie przyjazne dla obcych, ale miejscowi za to dają przybyłemu święty spokój, w pełnym znaczeniu tego słowa. Miejscowi muzułmanie nie rzucają się w oczy, choć przed podziałem Subkontynentu stanowili oni niemal prawie połowę mieszkańców miasta. Prawie nie słyszy się muezinów. Czterdzieści pięć kilometrów stąd, w historycznej stolicy Pendżabu (i drugim co do wielkości mieście dzisiejszego Pakistanu), w którym w pierwszej połowie XX wieku społeczność hinduska stanowiła jeszcze 30% ludności, dziś liczy ona zaledwie tysiąc osób, a świątynia sikhijaska pozostaje zamknięta.

Amritsar pozwala mi otrząsnąć się po podwójnym wstrząsie – tożsamościowym oraz pojęciowo-światopoglądowym, który przeżyłem w Delhi. Muszę też nabrać sił przed następnym szokiem kulturowym, którego spodziewam się w Lahore (ang. nazwa dla miasta *Lahaur*). Życie, poza głównymi arteriami i bazarami, jest o niebo spokojniejsze, próby oszustwa znikome – przede wszystkim zaś nie widać rażącej nędzy. Mimo coraz wyższych temperatur i suszy bez stresu można

poruszać się po zabudowanym organizmie, który nadal wygląda, funkcjonuje i jest postrzegany jako miasto. Oficjalnie założył go czwarty guru sikhijski Ram Das w 1577 roku, niemniej, poza kilkoma prostymi jak strzały traktami w pobliżu kompleksu zbudowanego dookoła świątyni i *Amrit Savovar* („stawu nektaru zapewniającego nieśmiertelność”) Stare Miasto jest typowym przykładem skupiska domów, które rozwijało się organicznie, bez wyraźnego układu. Planu Amritsar nie mogę dostać ani tutaj, nie było go także w Delhi, ani nawet w sławnej londyńskiej firmie Stammers, która sprowadza materiały kartograficzne ze wszystkich zakątków świata. Dzielnica *Cantonment*, zbudowana po drugiej stronie torów kolejowych wedle planu dla europejskich kolonialistów, założona w dyskretnym oddaleniu od części zamieszkałej przez ludność miejscową, jest wciąż modna i określana jako „elegancka” lub nawet „ekskluzywna”. Noclegi są tańsze niż w Delhi. Wybieram „luksusowy” pokój z telewizorem blisko dworca, w hotelu, gdzie nie zobaczę ani jednego gościa z Zachodu.

Pierwszą osobą, z którą nawiązuję bliższy kontakt, jest Japonka spokojnie czekająca na pociąg osobowy do Lahore. Kuriozalny pojazd, załadowany na peronie różnymi towarami, z jednym wagonem mieszczącym kilkudziesięciu pasażerów, wyrusza z godzinnym opóźnieniem. Większość towarzystwa, zdecydowanie „wsiowego” z wyglądu, wysiada na przedostatnim przystanku, a nas grzecznie informują na następnym, że odprawy paszportowa i celna odbędą się za kilka godzin i że, skoro pociąg po tamtej stronie granicy odjedzie późnym popołudniem, może wolelibyśmy pojechać do odległego o trzy kilometry przejścia drogowego. Mężczyzna z rykszą rowerową, do której przymocowana jest skrzynia na bagaż, czeka jakby specjalnie na nas. Myślę, że są takie momenty w życiu, kiedy człowiek powinien zapamiętać każdy szczegół; należy do nich właśnie jazda w towarzystwie zaprzyjaźnionej Japonki przez wyjątkowo sielskie, intensywnie zielone łąki Pendżabu do jedyne go otwartego przejścia granicznego między Indiami a Pakistanem. Mijamy małą wioskę, w pobliżu której zbudowano jedną z tych często widywanych instytucji, sprowadzonych wprost ze świata brytyjskiego, zwanych *young girls* lub *young boys' school*. Uczennice, które mają właśnie przerwę na lunch, stoją i gapią się na poruszających się rykszą z prędkością pięciu kilometrów na godzinę nieco zaniedbanego pana z legendarnego niegdyś kraju Wila-jet i drobne dziewczę z krainy skośnookich dżinów, którzy, gdyby dotarli tu z Birmy w 1942 czy 1943 roku, zrobiliby z ich pradziadków niewolników, a może wręcz mydło. Rzeczywistość zawsze wykracza poza wszelkie formy fikcji. Rzeczywistość jest niezastąpiona.

Przejście graniczne między wioskami Atari i Wagah to kolejny wątek bajkowej podróży z Amritsar do Lahore. Przy niewielkim ruchu samochodowym służy ono przede wszystkim pieszym. Wczesnym popołu-

dniem, poza urzędnikami i stojącymi na warcie nieskazitelnie ubranymi żołnierzami-strażnikami granicy, nie ma prawie nikogo. Cały rytuał stemplowania wiz, wypełnienia formularzy i odpowiadania na pytania celników trwa około 60 minut, czyli nadspodziewanie krótko. Po drugiej stronie czeka następny przewoźnik, który, za przyzwoitą cenę i bez żadnego targowania, dowiezie nas pod same drzwi hotelu w położonym około 25 km od granicy centrum miasta. W Wagah taksówkarz omija ogromną kałużę, na brzegu której handlują ludzie, i skręca w lewo. Jedziemy wzdłuż granicy jakieś 100 kilometrów na godzinę. Zatrzymujemy się przed opuszczonym, wpół zrujnowanym domem wśród sielskich łąk. Spoglądam na moją współtowarzyszkę, która sennie patrzy przed siebie. Twarz kierowcy, widzianna w lustrze, wydaje się zupełnie pozbawiona wyrazu. Myślę o kolejnych dwóch naiwniakach z Zachodu, porwanych w nieznanie: *last seen at the border crossing between India and Pakistan, heading in the direction of Lahore*. Po chwili samochód rusza dalej, przejeżdża jakiś niski most i skręca w prawo. Już widać pierwsze domy na peryferiach metropolii.

Cudowne miasto

Wjazd do Lahore wywoła lawinę niesamowitych skojarzeń i nadziei związanych z miastem. Widzę sceny jak ze snu. To olśnienie, wyjście z wieloletnich ciemności – spełnienie marzeń. Droga biegnie równolegle do kanału bujnie porośniętego drzewami i trawnikami. W kilku miejscach kąpią się dzieci, gdzie indziej, mimo coraz większego ruchu samochodowego, który należy do całkiem innego wymiaru niż wszechobecna sielskość, na kocach przy brzegu opalają się ludzie. Widać ogromne, brudne ciężarówki, nad naszymi głowami wiszą kable elektryczne, rozpostarte między olbrzymimi słupami, które niczym się nie różnią od tych na Żeraniu lub w Nowej Hucie. Przez chwilę wydaje mi się, że jestem pod Warszawą. Zwalniamy, aby przejechać tory kolejowe, które w pobliżu tutejszego *Cantonment* przecinają drogę wzdłuż kanału. Widać zardzewiałe wagony, wielkie plamy ropy naftowej, fabryki, kominy drapieżnie sterczą w niebo. Przez otwarte okno słychać potworną kakofonię współczesnego świata, czuć smród spalin, zabijających wonne zapachy idyllicznego Pendżabu. Ale tu nic mi nie przeszkadza, bo chodzi o potencjał, który tkwi w tym miejscu, a nie o jego obecną postać. W siedmiomilionowym molochu oczekiwanie wszechobecnego Edenu byłoby totalną obłudą.

Trzeba przyznać, że widok z siódmego piętra na współczesne śródmieście, ciągnące się między Starym Miastem a prowadzącym do *Cantonment*, bulwarem *The Mall* – nie jest zbyt rajska. W tym morzu zabudowy najczęściej z szarego żelbetonu, już mniej chaotycznej niż w bezkształtnych aglomeracjach po tamtej stronie

granicy, hotel położony jest świetnie. W burzliwych dziejach tego wielokrotnie obleganego, dewastowanego i odnawianego miasta, które przetrwało wszystkich panujących tu feudałów, despotów i cesarzy, tkwi coś niewątpliwie genialnego. Skoro stałym widocznym tu motywem jest budowanie, kultywowanie i zachowanie cywilizacji miejskiej, dżinn miejsca – *genius loci*, czyli duch opiekujący się tym miejscem – musi być niezniszczalny. Stoi nieopodal drugi już, identyczny z wyglądu, mały i zgrabny meczet. Nie mam ochoty zastanawiać się nad kwestią związków między religią a państwem, bo zamierzam jedynie zwiedzać Lahore; mnie interesuje przede wszystkim kwestia miejska.

23 marca 1940 roku w tym właśnie mieście podpisano rezolucję, która będzie kamieniem węgielnym w procesie zakładania państwa Pakistan (Pakistan w języku urdu znaczy Ziemia Czystych). Mówi się, że jednocześnie wybrano tę nazwę jako akronim czterech głównych regionów, z których miało się ono składać: Pendżabu, terenów zamieszkałych przez Afganów, czyli Pasztunów, Kaszmiru i Sindh. Stolicą państwa miało być miasto, które skupiało i przyciągało środowiska intelektualistów muzułmańskich, wykształconych w najlepszych szkołach i najbardziej prestiżowych uniwersytetach Anglii. W rocznicę dwudziestolecia podpisania rezolucji w sąsiedztwie fortu (takiego jak w Delhi) i kolosalnego meczetu *Badshahi Jami*, zbudowano 60-metrowy pomnik betonowy o sylwecie przypominającej nieco górną część wieży Eiffla, który nazywa się *Minar-i-Pakistan*. Symbol pakistańskiej niepodległości stoi w mieście, którego rola w życiu politycznym państwa znacznie zmalała po przeniesieniu stolicy – najpierw do Karaczi, a potem do budowanego od podstaw po 1961 roku Islamabadu. W Pakistanie nie ma miasta o tak bogatych i starych tradycjach jak Lahore – stolica sztuki, kultury i najważniejsze centrum intelektualne muzułmańskich Indii. Nie brak dowodów potwierdzających hipotezę, że w ponadtyśiącletnich, udokumentowanych dziejach miasta najważniejszą rolę odegrali nie tyle cesarze i duchowni, ile po prostu jego mieszkańcy. Miejskość Lahore nadal jest żywa i namacalna. Miejsce to skłania do namysłu nad kwestią „ducha opiekuńczego” w odniesieniu do historii, formy i mieszkańców. Kiedy porównuję Lahore i Delhi, przychodzą na myśl zestawienia Marsylii lub Tuluzy i Paryża czy Kolonii (zniszczonej w latach 1944-45) lub Magdeburga (zdevastowanego w 1630 roku) i Berlina. Lahore wiele łączy z Florencją i Bolonią, Hamburgiem i Lipskiem, Wrocławiem, Lwowem, Jassami, Płowdiwem, Smyrną czy Aleppo, które zdążyłem odwiedzić, a także, jak przypuszczam, Mosulem i Basrą, Saną, Muskatem, Isfahanem i Szirazem, do których jeszcze nie dotarłem. Odczuwam jakąś magiczną harmonię z otoczeniem. Podobnie czułem się w innych miejscach i miastach. Jednocześnie staję się wyjątkowo operatywny, mam mnóstwo energii, załatwiam mnóstwo spraw, jestem życzliwie traktowany

przez niemal wszystkich miejscowych. Nawiązuję kontakty z wykładowcami na Akademii Sztuk Pięknych, która ma siedzibę w bogato zdobionym gmachu obok sławnego *Ajayabghar* („Domu Wspaniałości”), najstarszego czynnego muzeum na Subkontynencie, gdzie kuratorem był ojciec Rudyarda Kiplinga.

Choć czas się tu nie zatrzymał, miasto nie wkroczyło jeszcze w XXI wiek. Właściwie wszystko zmienia się tutaj z pewnym opóźnieniem i w zwolnionym, mimo wszystko, tempie. „Billboardy” przymocowane do niezbyt eleganckich latarni na bulwarze *The Mall*, zwanym oficjalnie *Shahrah-i-Quaid-i-Azam*, przywołują na myśl początek lat 90. w Polsce. Księgarnia domu wydawniczego Ferozson’s przypomina dawny OR-PAN w Pałacu Kultury. Jest tu szeroki wybór książek firmowych i innych wydawnictw krajowych oraz potwornie drogie jak na tutejsze kieszenie albumy importowane z Indii i mnóstwo przedruków książek zachodnich, zwłaszcza brytyjskich. Dominuje angielski i miejscowy urdu. Książki traktuje się tutaj jako materiał badawczy czy literacki – a nie jako towar, który ma przynieść zysk. Staromodna szata graficzna okładek należy do świata mojego dzieciństwa. Wychodzę stamtąd z ciężką paczką zawiniętą w szorstki papier pakowy i przewiązaną sznurkiem. Przed księgarnią młody człowiek naprawia stary motocykl – takimi modelami jeżdżono w latach młodości mojego ojca. Przejeżdża czarna taksówka, jak z filmu z lat 50., nakręconego w wytwórni *Ealing Studios*. Skończywszy ostatniego papierosa *Gold Flake*, z paczki kupionej jeszcze w Indiach, palę pakistańskie *Gold Leaf*. Na ich opakowaniu widnieje logo z charakterystycznym wizerunkiem marynarza, którego już się nie używa w Anglii. W Pakistanie zachowało się więcej motywów z kraju mego urodzenia niż w Indiach, pragnących jak najszybciej upodobnić się do zglobalizowanego świata współczesnego. Zastanawiam się, do jakiego stopnia można by jeszcze spotkać się z podobnie gęstą atmosferą minionej i straconej epoki w starych, nie odwiedzonych tym razem przeze mnie, ośrodkach miejskich innych regionów Subkontynentu, m.in. w Allahabadzie, Lakhnau lub Ahmadabadzie.

W hotelu spotykam na korytarzu dwóch wesołych *non-resident Pakistanis* – okazuje się, że to kolejni rodacy z Birmingham. Jeden z nich nosi pocieszny, zapewne tutaj kupiony kapelusz zwany *trilby*, tylko wyrobiony nie z filcu, ale gładkiej, czarnej skóry. Zapraszają do siebie, ale późnym wieczorem, bo teraz po raz ostatni idą na miasto – jutro mają lecieć do domu (*home*). Można sobie wyobrazić, że na tej płynącej mlekiem i miodem ziemi przodków, która na ich kieszeń wciąż jest bardzo tania, musieli sobie nakupić mnóstwo rzeczy. Więcej ich nie widziałem – z pewnością wrócili bardzo późno do hotelu, przecież w Lahore szkoda czasu na sen. Mój pokój wyposażony jest we wszystko, czego potrzebuje najbardziej wybredny podróżnik: telewizor, sprawne radio, łazienka z gorącą wodą, lodów-

ka, biurko, krzesła i puffy (można by tu świetnie podjąć kilka osób). Lahore zawsze było, i w znacznym stopniu wciąż jest, miastem handlowców i kupców. W korytarzach widać kelnerów, którzy pchają wózki pełne napojów i jedzenia. Ten hotel to współczesny karawanseraj, ale obawiam się, że skoro transakcje, które zawiera się w jego murach, należą do minionej epoki – jego dni są już policzone. Ledwie zdążyłem wejść do pokoju, słyszę telefon – oddzwaniają z agencji organizującej wycieczki po mieście, z którą skontaktowałem się wcześniej.

Rashid jest wspaniałym przewodnikiem, warunki do zwiedzania wyśmienite, bo prawie nie ma turystów. W Lahore przybysz z innych stron nie traktuje się jako wycieczkowiczów na urlopie, lecz jako podróżników-gości. W oczach naszego przewodnika-gospodarza szczególny szacunek budzi to, że do Lahore przyjechałem z Hindustanu. Kazumi – samotnie podróżująca urocza Japonka – oczarowała go w pełni. Mimo że Rashid nie mówi tego wprost, mam wrażenie, że bardziej czuje się on synem swojego miasta niż kraju. Jego przodkowie od niepamiętnych czasów mieszkają w Lahore na średniowiecznej starówce. Przedpołudnie spędzamy na terenie dawnej twierdzy (odpowiednik delhijskiego Czerwonego Fortu). Rashid ma w nas wdzięcznych gości, więc z zapalem i dumą pokazuje nam wszystko, co uważa za warte obejrzenia. Opowiada o mogołach (kojarzonych zwykle nie tyle z Lahore, ile z Agrą i Delhi), którzy nie tylko tutaj panowali ale, co najważniejsze, zrealizowali swoje ogromnie wpływowe założenia urbanistyczne. Zwiedzamy miejsca tak piękne, jak samo brzmienie ich nazw w języku urdu lub w perskim: *Shish Mahal* („pałac luster”) i *Naulakha* (pawilon z 1631 roku, którego nazwa – „dziewięć lakhów, czyli 900 tysięcy – może odnosić się do liczby cennych kamieni użytych do inkrustacji jego murów lub do wartości całego arcydzieła), które znajdują się w Forcie, a także ogrody *Salimar* („domu rozkoszy”) i *baradari* („pawilon rozkoszy”) na wyspie na rzece Ravi, gdzie dopływa się łodzią. Choć tym razem nie zwiedziłem Tadž Mahalu, oglądałem mniej znane, ale równie wielkie mauzoleum, zbudowane przez „Władcę Świata” Shahdżahana dla ojca, Nūrud Din Muhammed Dżahangir Bāshāh. Zastanawiam się, czy faktycznie ten monumentalny grobowiec jest taki, jaki jest, dlatego że jeden z czterech najpotężniejszych władców mogolskich, którego pochowano w tym mieście, życzył sobie wiecznego spoczynku „pod otwartym niebem”, czy też po prostu budowy tej nigdy nie dokończono? Gdyby zrealizowano ją zgodnie z życzeniami syna lub wdowy, najsłynniejszy zabytek Subkontynentu nie znajdowałby się w Agrze, lecz w dzisiejszym Lahore.

Prawdziwą, lecz mocno podupadłą perłą Lahore jest Stare Miasto, otoczone niegdyś murami obronnymi, dziś zaś szerokimi plantami. Ulice – zatłoczone, kolorowe, pełne przeróżnych zapachów – sprawiają wrażenie swoistego pastiszu. Choć w Delhi i Agrze za-



7. Muzeum miejskie w Lahore, nazywane przez mieszkańców Domem Wspaniałości (*Ajayabghar*). Rzeźba z III wieku przed naszą erą, chrześcijańska, Buddysta zachowującego długo trwający post, jest najbardziej znanym eksponatem. Po odzyskaniu niepodległości pomnik Wiktorii trafił do środka muzeum, włącznie z innymi nowymi eksponatami, które zajęły miejsca tej części zbiorów przeniesionych do Republiki Hinduskiej

chowało się więcej śladów po dawnych zdobywcach i imperatorach, Niccolo Manucci, który odwiedził Lahore w początku siedemnastego wieku, zanotował, że domy na tutejszym Starym Mieście sięgają ośmiu kondygnacji. Czy czeka Lahore kolejna katastrofa? Czy śladów po drewnianej architekturze miasta pozostanie tak niewiele jak po wielopiętrowych budowlach średniowiecznego Lahore? Tak jak Louis Malle, który podróżował po Indiach ponad trzydzieści lat temu, nabieram strasznego przekonania, że wszystko to, co najcenniejsze, lub po prostu bezcenne, nie ma szans na przetrwanie. Fotografując drewniane loggie, balkony, wykusze, portale i inne walące się dzieła dawnej sztuki snycerskiej, jak Malle zdaje sobie sprawę, że czas skazany na zapomnienie został zatrzymany tylko na chwilę. Niezależnie od przyszłych losów wszechobecnej walącej się architektury drewnianej wiadomo, że nie przetrwa tradycja, która stworzyła to wspaniałe dziedzictwo, bo w Lahore używa się dziś tych samych materiałów co na całym świecie.

Nadszedł czas przekroczenia nieprzyjaznej granicy między Pakistanem i Hindustanem. Do przejścia wiezie mnie ten sam taksówkarz, który mnie stamtąd zabrał i z którym się wtedy umówiłem, że będzie na mnie czekał pod hotelem w południe, piątego dnia po moim przyjeździe. W drodze, aż do Amritsaru – pozostanę pod urokiem Lahore, ale kiedy nazajutrz zbudzę się w pociągu dążącym powoli do Bombaju i w porannym półmroku zobaczę perony dworca New Delhi, z którego wyjechałem niemal dokładnie przed tygodniem, to, żeby czar ten nie prysnął, próbować będę zapomnieć o otaczających mnie realiach. I myślę intensywnie o cudownym mieście, które powstało nad wodami jednej z pięciu rzek Pendżabu.